Bariera mgły

W ostatnim czasie świat zwolnił. Przynajmniej pozornie. Przynajmniej dla mnie. Właściwie nie pamiętam już prawie wcale czasów sprzed wybuchu zarazy. Moje wspomnienia z tamtego okresu stanowią jedynie zamazane plamy, majaczące gdzieś w dalekich zakamarkach mojego umysłu, z których istnienia nie zdaję sobie nawet sprawy. Odciąłem się od nich barierą ze stali i nie chcę do nich wracać, już nigdy. To moje wspomnienia z młodości, być może, ale młodość nie musi definiować szczęścia. Przynajmniej nie dla mnie.

Wczoraj zmarł mój ojciec. Dowiedziałem się dopiero dziś rano, bo dopiero dziś rano znalazła go życzliwa sąsiadka, przynosząc jak co dzień świeże mleko. Po odebraniu telefonu i usłyszeniu brzemiennych słów, poczułem przeszywające ukłucie wewnątrz czaszki i odruchowo zacisnąłem powieki. Nigdy wcześniej nie doznałem tak niezrozumiałego uczucia, i z pewnością nigdy wcześniej takie uczucie nie wywołało we mnie takiego zdziwienia. Przecież powinienem być tej śmierci zupełnie obojętny. Nienawidziłem ojca.

Niezależnie od tego czy nienawidziłem go czy nie, był moim ojcem i muszę dopełnić formalności. Natychmiast znalazłem najbliższy pociąg i po szybkim spakowaniu najważniejszych rzeczy, niezwłocznie ruszyłem do Warszawy. PKP Intercity, druga klasa, mój przedział jest pusty. Pracuję zdalnie - jestem informatykiem, więc całe szczęście nie muszę się martwić sprawianiem szefowi problemów tym nagłym wyjazdem. Usiadłem wygodniej na kanapie i pociąg ruszył.

Wyjechałem z Raciborza - jak te słowa dziwnie brzmią w mojej głowie. Nie pamiętam rzeczywistości poza Raciborzem. Mam wrażenie, jakbym nigdy do tej pory z niego nie wyjeżdżał. Stał się moim cichym azylem, jedynym miejscem, w którym czułem się dobrze, z dala od wielkomiejskiego zgiełku, szumu, brudu i innych podobnych paskudztw. Mikrokosmosem, z którego właśnie wyjeżdżam. Odkąd sięgają moje najdalsze wyraźne wspomnienia, co wydaje się być wręcz wiecznością, Racibórz był dla mnie całym światem.

Coraz bardziej widzę swoją beznadziejną sytuację. Nie ma we mnie najmniejszego nawet śladu poczucia czasu, nie wiem, jakie wydarzenia wyznaczają ramy pewnych okresów w moim życiu. Sam już nie wiem, co pamiętam i jak. Wydawało mi się, że pamiętam świat od czasu wybuchu pandemii, ale czas ten wydaje mi się być wiecznością. Czas przed pandemią wydaje się być jeszcze dłuższym czasem niebytu. Błądzę we śnie.

***

Warszawa. Studiowałem tu, ale nigdy w tym czasie nie czułem się jak w domu. Potem ojciec przejął moje studenckie mieszkanie, a ja przeniosłem się do Raciborza, by los mógł znów połączyć mnie z miejscem, w którym się wychowałem. Dom przypominał mi o Matce, ale nie w negatywnym sensie. Odeszła tak dawno temu, że zdążyłem się już z tym pogodzić, a Dom był niezwykłym

miejscem, w którym na każdym kroku można było wyczuć jej obecność, wibrującą wyraźnie w ciepłym powietrzu. Meble, naczynia, pościel i wszelkie przedmioty codziennego użytku wciąż nosiły na sobie dotyk jej miękkich, pulchnych palców, i zapach jej słodkich, ziołowych perfum. Mama pachniała i wyglądała jak łąka pełna kwiatów, żywa i mieniąca się ogromną gamą pięknych barw, jak witraże Wyspiańskiego. Taką przynajmniej ją pamiętam, bo przecież nie okazywała małemu dziecku trudnych uczuć. To jedne z moich nielicznych żywych i kolorowych wspomnień. Mamy nigdy nie pozwolę sobie zapomnieć. Przenigdy.

Dom zaś i cały Racibórz był dla mnie pełen jej ciepłego ducha, zapachu, sposobu bycia - wciąż jeszcze słyszałem pośród murów echa jej głośnego, perlistego śmiechu. I dlatego powziąłem decyzję, by pozostać tam na zawsze. Blisko niej.

A teraz jestem w stolicy. Tak daleko od niej. Po postawieniu pierwszego kroku na peronie Warszawy Głównej moją głowę otoczyła z każdej strony lawina cichych głosów, zdających się na rozmaite sposoby wypowiadać, czy też wykrzykiwać „jesteś zupełnie sam". To prawda. Już od wielu lat prowadzę życie samotnika, odizolowanego jak gdyby od całego świata zewnętrznego. Oddziela mnie od niego warstwa gęstej, akwarelowej mgły, przysłaniająca dla mnie grubą i wyraźną jego kreskę. Spacerując po Raciborzu, widzę, że jego ulice tętnią życiem, wypełnione rozedrganym, miedzianym światłem zwieszonych nisko latarni, widzę ludzi tańczących do ludowej muzyki i bawiących się świetnie w swoim towarzystwie, błyszczących tym szczególnym rodzajem światła, charakterystycznym dla głębokiej radości, spełnienia i zapomnienia, choć na moment, o wszystkich prozaicznych problemach odległej rzeczywistości. Napotykając tych ludzi, zawsze uśmiecham się skrycie i przystaję, by popatrzeć na to, jak się bawią - widok ten napawa mnie samego jakąś nagłą falą ciepła, i przez krótką chwilę bariera gęstej mgły zostaje zerwana, a ja widzę świat w jego normalnych, wyrazistych barwach, i gwiazdy nocnego nieba malują się w mych oczach mocną kreską van Gogha. Potem świat na powrót przywdziewa swoją szaro-niebieską szatę, ale mimo to, będąc w Raciborzu, nigdy nie czuję się samotny. Wiem, że moja Matka jest tuż obok, całe miasto nosi w sobie fragmenty jej Ducha, i kocham te swoje spacery wśród parków i kamienic, przemawiających do mnie jej głosem.

Dopiero teraz czuję, jak bardzo tak naprawdę jestem samotny. Przecinam Aleje Jerozolimskie i kieruję swoje kroki w stronę Urzędu Dzielnicy Ochota. Sąsiadka od razu po odkryciu ciała ojca zadzwoniła po pogotowie i wystawiono kartę zgonu, za przyczynę uznając zawał serca. Dziwi mnie to, że ojciec, poczuwszy się źle, nie zdecydował się zadzwonić pod 999. Nie był wcale stary, potrafił doskonale obsługiwać telefon i ciągle wydzwaniał do ludzi, tak samo jak zdawał sobie sprawę ze swojego nadciśnienia, i z tego, że jeśli źle się poczuje, powinien natychmiast postarać się o medyczną pomoc. A mimo to tego nie zrobił.

Tak, jakby chciał umrzeć. Otwieram drzwi i przestępuję próg budynku.

***

Formalności w urzędzie i domu pogrzebowym ciągnęły się bez końca i nie pamiętam z nich wiele, oprócz mnóstwa papierów i podpisów. Błogosławiłem w duchu chłodne powietrze Grójeckiej, gdy wreszcie mogłem pozwolić mu wniknąć głęboko w moje płuca, po zakończeniu tych wszystkich rozmów. Pogrzeb jutro rano. Dostałem też telefon ojca, z którego dzwoniła do mnie jego sąsiadka i klucze do mieszkania przy Uniwersyteckiej, choć nie planuję się tam wybierać. Zamówiłem sobie nocleg w hotelu na Starym Mieście, z daleka od tej przeklętej Ochoty, choć teraz jeszcze tu jestem.

Siedzę w jednej z okolicznych kawiarni, musiałem czym prędzej udać się po jakiś ciepły trunek, ale chociaż kawa jest całkiem niezła, to nigdy nie będzie smakować tak dobrze jak kawa w raciborskiej Migawce. Jej klimat z jakiegoś powodu określić można jako niepowtarzalny, choć teoretycznie nie różni się szczególnie od innych podobnych, eleganckich kawiarni, o wystylizowanych ze smakiem wnętrzach. Wydaje mi się, że to dlatego, że w Warszawie takich kawiarni jest cały ogrom, podobnie jak ludzi, stąd, trudno im zdobyć bardzo konkretną, ścisłą osobowość. Migawka zaś jest sercem Raciborza, w którym wciąż przewijają się głównie ci sami ludzie, ale można wśród nich wyróżnić zupełnie inne grupy stylów i zainteresowań. Choć chadzam tam głównie sam, czuję, że przynależę do pewnej grupy - grupy mieszkańców miasta, które łączy nas w jednym uścisku, bo jego rozmiar pozwala na objęcie wszystkich.

Spoglądam na geometrię starych, szarych budynków, rysującą się za oknem. Środek października nie sprzyja bynajmniej ich estetyce. I znów tonę we mgle. Tęsknię za czasami, gdy świat spowijał klimat obrazów paryskiej ery van Gogha - elementy rzeczywistości wokół błyszczały mocnymi barwami, i nawet wtedy, gdy kolory te nie były ciepłe i radosne, były przynajmniej wyraźne i oczywiste. Wiedziałem, że istnieję, czułem, że żyję, nie zastanawiałem się nad sensem tego, co robię.

Potem wszystko uległo zmianie. Nie wiem, czy wybuch pandemii był rzeczywiście tak przełomowym momentem, jak przywykłem to sobie tłumaczyć. Przecież od zawsze byłem samotnikiem, więc co się zmieniło? Właściwie, gdyby tak się zastanowić, mam dzięki temu więcej czasu dla siebie, zacząłem pracować zdalnie, powinienem zatem się cieszyć. A jednak tak nie jest.

Być może zaczęło mi jednak brakować kogoś bliskiego, kogoś z kim mógłbym dzielić wspomnienia. Czuję, że nikomu na mnie nie zależy, i co gorsza, czuję, że to z mojej własnej winy. Bo odrzuciłem wszystkich tych, którym na mnie zależało. Jako dziecko i nastolatek miałem kolegów i koleżanki, bo ojciec mnie do tego zmuszał. Uważał, że „wychodzenie do ludzi" jest dla mnie bardzo ważne, i jeżeli czuję się źle, to dlatego, że nic nie robię, a nie dlatego, że po prostu taki jestem. I wiedziałem, że miał rację, nie mogłem bezczynnie siedzieć w domu, ale tym tworzeniem mi znajomych doprowadzał mnie do białej gorączki. Ale miał rację. Jemu zależało. A ja to zignorowałem, i jeszcze mam czelność użalać się nad sobą.

Postanawiam skierować swoje kroki do mojego studenckiego mieszkania, do mieszkania ojca - choć nie planowałem tego robić, czuję, że jest to konieczne. Ruszam w kierunku Uniwersyteckiej.

***

Mieszkanie w szarym bloku nie jest niczym specjalnym, i z pewnością jest bardzo malutkie, jednak natychmiast po przestąpieniu progu poczułem się, jakbym wstępował do miejsca niezwykłego, świętego, a może właśnie będącego przeciwieństwem świętości…? Uderzyła mnie zrazu ostra, kłująca woń tytoniu, rozproszona widocznie po całym lokalu. Ojciec nigdy wcześniej nie palił w domu. Poczułem jakąś dziwną moc wewnątrz gardła, niepozwalającą mi oddychać normalnie, i jakby duszącą od środka. Wszedłem do salonu.

Na podłodze rysowały się słabo ślady po ciele. Odwróciłem od nich wzrok i skierowałem go na ścianę po mojej prawej. Tam, gdzie kiedyś ja stawiałem zdjęcia Matki, teraz stało mnóstwo moich zdjęć, zrobionych przy wszystkich możliwych okazjach, i najwyraźniej często trzymanych w dłoniach, bo w niektórych miejscach farby przykrywające ich ramki starły się lekko. On tęsknił za mną. A ja nie odwiedzałem go wcale i rzadko odbierałem telefony. On nie mógł do mnie przyjechać, bo wciąż pracował i, jak tłumaczył, ludzie go potrzebowali. Ale teraz nie było żadnych ludzi. Było tylko puste, brudne mieszkanie, wypełnione po brzegi smrodem papierosów.

Czy kochałbym i tęsknił do Matki tak samo, gdyby nie umarła, kiedy miałem zaledwie cztery lata? Pewnie nie. Właściwie nie wiem, jaka była naprawdę. Może w późniejszych latach mego życia stałaby się dla mnie równie okrutna jak ojciec, a może to ojciec stał się tak okrutny przez to, że odeszła? I może powinienem jej nienawidzić za tę śmierć. Ale przecież nigdy się na to nie zdobędę. To nie była jej wina.

Czy jednak winą ojca było to, że stał się dla mnie tak szorstki i obmierzły? Czy było to jedynie reakcją obronną, która wystąpiła u niego po śmierci osoby, którą ukochał najbardziej na świecie? A może próbował być dla mnie jak Matka, ale zwyczajnie nie potrafił?

Wyrzuty sumienia jak noże przeszywają moje serce jeden po drugim, przestaję nienawidzić ojca i zaczynam nienawidzić siebie, a właściwie jedynie wydobywam to uczucie nienawiści własnej z dna swej duszy, bo ono trwało i dusiło się tam od dawna, niemalże odkąd się urodziłem, a przez całe swoje życie niestrudzenie oddalałem je od swojej świadomości. Postanawiam nie oddalać go dłużej, pozwalam mu dotrzeć prosto do swojego mózgu, smakuję jego gorzkość na języku, a do nozdrzy dociera nieznany mi dotąd okropny smród, mój własny smród. Przez moment nie wiem co robić i mam ochotę odpłynąć donikąd, by już nigdy stamtąd nie powrócić, ale z drugiej strony mam dość swojego dekadentyzmu, i nie chcę w nim trwać ani chwili dłużej.

Czuję, że od czasu wybuchu pandemii, któremu jako ludzie zwykliśmy przypisywać jakieś magiczne właściwości, znaleźliśmy się w stanie dziwnego zawieszenia pomiędzy rzeczywistością a nierzeczywistością, pomiędzy radością, a smutkiem, pomiędzy życiem, a śmiercią. W ciągłym

niepokoju i oczekiwaniu na najgorsze, które nie nadchodzi, zapomnieliśmy o czymkolwiek, zatraciliśmy się w swych obawach do tego stopnia, że przestaliśmy już się obawiać. Ale mimo tego nigdy nie wróciliśmy do życia w pełni. Błądzimy we śnie.

***

Poranek dnia następnego powitał mnie, przysłonięty jeszcze czarnym płaszczem nocy. Przygotowania do wyjścia zajęły mi zaledwie chwilę, i już wkrótce odziany w czarny prochowiec, schowany pod rondem czarnego kapelusza stałem w zadumie przed Zamkiem Królewskim, schowawszy swe ręce w obszernych kieszeniach. Światła latarni migotały jeszcze słabo, niektóre okna zapalały się żółtawym blaskiem, miasto przygotowywało się, by zrzucić z siebie ciemną osłonę i na powrót odżyć. Uliczki tonęły w porannych błękitach, kiedy sunąłem nimi w kierunku chyba tylko diabłu znanym, pozwalając myślom płynąć razem z mgłą, i zabijając w ten sposób czas. Codziennie rano spaceruję tak uliczkami Raciborza, lub wyjeżdżam na rower, kontemplując piękno przyrody, która dzięki porannej mgle nabiera w moich oczach soczystszych barw, przywdziewając koronki rosy. Tutaj to nie to samo.

Nie chcę nawet myśleć o pogrzebie, chociaż w dłoni trzymam kurczowo wiązankę kwiatów. Wczoraj zadzwoniłem do tych znajomych mojego ojca, którzy wydali mi się najważniejsi, żeby zaprosić ich na pogrzeb, i każdy z nich był zszokowany tą nagłą śmiercią, a na moje pytania odpowiadali tak samo - od dawna nie mają już z ojcem kontaktu. Zrodziło to we mnie ogromny wewnętrzny niepokój, niechcący odstąpić mnie ani na krok. Czuję, że zachowałem się wobec ojca jak potwór, choć wcześniej to jego uznawałem za potwora. I najgorsze jest to, że nie mogę już nic zrobić.

***

Pogrzeb upłynął mi zadziwiająco szybko. Wysłuchałem cierpliwie kondolencji, płynących z ust kilku znajomych mego ojca o zatroskanych twarzach, podziękowałem im życzliwie za ich obecność. Mówili, że ojciec nie wspominał przy nich nigdy o tęsknocie za synem, i traktował go raczej tak, jakby nie istniał. A jednak mieszkanie przy Uniwersyteckiej wskazywało na coś zupełnie innego.

Nie chciałem już dłużej zostawać w Warszawie, choć początkowo miałem takie plany, jednak wsiadłem do najbliższego pociągu i ruszyłem z powrotem do Domu. Do Domu, który już nigdy nie będzie dla mnie taki sam. Ale mam dosyć patrzenia w przeszłość. Najwyższy czas zająć się swoją przyszłością. Żyję zdrowo, mam świetną pracę, wciąż rozwijam się zawodowo i w obrębie swych pasji. Tyle, że jedynym bliskim mi człowiekiem jest moja Mama, od dawna nieżywa. Introwertyk czy nie, przewlekła samotność nie służy nikomu. Czas przebić barierę mgły, by nie popełnić już podobnych błędów. Koniec z błądzeniem we śnie.

Ostatnia stacja: Racibórz. Pociąg staje, a ja wychodzę żywo z przedziału, taszcząc w rękach walizki z najważniejszymi rzeczami ojca. Tato, to nieprawda, że nie mogę już nic zrobić. Tak mi się tylko wydawało, pod wpływem ulotnego powiewu błękitnej mgły. Jeszcze sprawię, że będziesz ze mnie dumny. Wychodzę na peron i czuję powiew chłodnego, pachnącego jesienią powietrza na twarzy. Budzę się.

Błądząca we mgle